

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

[21]

DLA DZIECI.



Kazałem go tedy pilnować moim pieskom (str. 323). *(Kiedyś mi on tak, dy 1/2)*

PRZYGODA MYŚLIWSKA KSIĘCIA Panie kochanku.

Wypisana ze stariej księgi.
przez M.a.

W stariej księdze mego pradziada, w którą on miał zwyczaj różne wydarzenia długiego swego życia wpisywać, znajduje się między innemi taka opowieść:

...Tak odebrawszy szczęśliwie onę to krwawicę moję, o mało co niezaginioną, jechałem tedy litewskim krajem, myśląc sobie, że trzeba się już chyba w ziemi tej okupić, bom słyszał, że tam nie drogo, a trocha nijako było z sumką sporą tak samopas na deresz w koniec świata wlec się, by czasem łotrzyk gdzie jaki drogi nie zastąpił, grosz poczuwszy. Słonko wzbilo się wysoko, deresz i ja, oba potrzebowaliśmy posiłku. Zsiadłem tedy na

pięknej trawie nad strumykiem pod drzewem, dałem dereszowi jeść, pić, a potem, puściwszy go wolno, zająłem sam do torby i siadłszy, począłem się posiłać.

Jedząc, patrzę, aż tu jedzie wielki drabiniasty węgierski wóz, taką dzielną czwórka zaprzężony, że mi się aż serce doń uśmiechnęło: wkoło wozu chmara jezdnych też na pysznych koniach, a na wozie, na siedzeniu pięknie kobiercem zasłanem, siedzi jeden poważny człek. Wszystko pięknie, kosztownie, rażno, zbrojno a ochoczo, widocznie szlachta i nie lada jaka, i wszystko to staje opodal pod borem.

W mgnieniu oka służba zwinna tam porozpalała ogniska i coś smaży, a ówdzie postawiła śliczny turecki namiot, kędy schroniła się przed południowem słońcem starszyzna. Po chwili widzę, że ktoś jeden i drugi z otwartego namiotu patrzy ku mnie, aż niedługo czekając, kieruje się wprost ku mnie jeden z patrzących owych. Przyszedł i widzę z prezencji, że piękny szlachcic jest.

— Czołem! — mówi on grzecznie.

— Czołem! — odpowiadam. A on rzecze:

— Książę Karol Radziwiłł, pan, a brat, a swat ukochany nasz, który tam oto w namiocie owym siedzi, pyta waszmości, czylibyś nie chciał wolej z nim chleba z solą spożyć, a lampeczkę wypić, niż samotnie tu się posiłać, boć widno, żeś brat a podróżny, a on tu przecież gospodarz.

Tedy odpowiedziałwszy jak należało grzecznością na grzeczność onę, idę z onym szlachcicem ku namiotowi, a deresz, swoim zwyczajem, jak pies idzie za mną, a ja rozpytuje trochę.

— Ba — rzeknie szlachcic — co za dziw, iżeś waszmość nie wiedział, jako na Radziwiłłowskięj ziemi jesteś, kiedy sam książę pan nie wiedział o niej niedawno, jak dotąd o wielu innych ziemiach swoich nie wie, co też jest nie żaden dziw, bo rozległe to wielce obszary. A co zaś do woza owego, to snadź waszmość z okrutnie dalekich stron jesteś, kiedyś jeszcze tak jeżdżącego Radziwiłła nie widział, boć zwyczaj jego w dobrach swoich a na polowaniach taki jest.

Tak rozmawiając wchodzimy w namiot, kędy książę Radziwiłł Karol, poważny człek, siedział u stoła. Składam ja mu submisye należne, za grzeczność pańską dziękując, a on na to, spełniwszy sporą czarę w ręce moje, rzecze:

— Nie! waszmość, panie kochanku, z okrutnie dalekich stron być musisz, kiedy ja cię nie znam: gadaj, bracie, jeśli łaska, co zacz, a co cię tu zaniosło, czy nie zła dola jaka?

Gadam ja więc o sobie wszystko, jak było, gadam zaś jedząc, jak wszyscy tam, a wtém duża ręka czarna jakaś chwyci talerz z przedemnie,

a czysty w to miejsce stawia; spojrzę ja za się a tam za mną niedźwiedź ogromny na dwóch łapach stoi, a pod pachą czysty talerz trzyma, jak raz, niby hajduk stołowy! Wzdrygnąłem się w sobie troszeczkę, alem pewien, że znać tego nie było, a książę rzecze:

— Ot, gość jesteś, panie kochanku, bo reszta to moi, więc ci dałem z respektu pacholka własnego do usług, bo bieda temi czasy u mnie, że nie wielu służby mam wytresowanej, a i na tego zważaj, bracie, aby ci za chyżo nie zmieniał talerzy, byś snadź ty głodny nie ostał, a on najedzony za wiele. Oj, taka to, panie kochanku, zła służba teraz, która panu czyni wstyd, gdy zda się wiecznie nie syta. Nie tak to było za moich czasów, gdy ja, panie kochanku, za kuchcika po dworach służywałem, ho! ho *)!... A no gadaj dalej, panie kochanku.

Gdym zaś już wszystko wypowiedział o sobie, on rzecze:

— Chcesz się tu osiedlić? w to mi graj, panie kochanku, boś mi strasznie przypadł do serca: ot sierocy opiekun pan Drozdowicz umarł, bierz po nim moje Słotwinówkę w dzierżawę!

— Kiedy jabym się chciał okupić — powiedziałam.

— A dużo masz grosza? — spyta.

— Pięćdziesiąt tysięcy.

— Panie Pretwicz! wiele Słotwinówka warta? — spytał książę jednego z licznej szlachty obecnej.

— Sto tysięcy najmniej — odrzekł Pretwicz.

— To słuchaj — rzecze do mnie książę — dzierżawę weź, ulokuj kapitałik u mnie, dam ci skrypt; jakbym umarł, Słotwinówka twoja; ja dali-bóg nie ukradnę! jakem pocziw, ja nigdy nawet kuchcikiem będąc nie kradłem!...

Tak mówił książę z wielką powagą, a ja starałem się też powagę zachować, alem nie wytrwał, i roześmiałam się jako śmieli się inni, co snadź w humor dobry księcia pana wprawiło, bo rzecze znowu:

— Śmiejecie się? nie wierzycie? mniejsza z tém, a no ty, bracie mazurze, daj się ugłaskać, a z nami ostań, gwoli czego opowiem tobie myśliwską moję jedną przysgodę.

Poprawił się książę na krześle i mówił:

— Gdym ja z kuchcika wyrósłszy, i w zamorskich podróżach na królowaniu murzyńskim tro-

*) Książę Karol Radziwiłł, zwany Panie-kochanku, gdyż miał takie przysłowie, słyszał ze swych przeróżnych anegdot, opowieści, w których zawsze siebie za głównodziałającego wystawiał, a pod osłoną których to żartów, wypowiadał on nieraz jędrne prawdy. Jednym z takich żartów było opowiadanie jego o sobie, jako służywał za kuchcika, on, pan z dzinów pradziadów bogatszy od królów niektórych.

chę grosza chwyciwszy, do domu napowrót wrócił, tedy kupiłem sobie tę oto puszcę, co się tu obok zieleni i kawałek wykarczowawszy, a szałas wystawiwszy, bawiłem się z panem Cetnerem *), polując na niedźwiedzie. Wilków była tu chmara też, alem ja się nigdy w wilkach nie kochał; wszelako, że mi owce dusiły, tędym i im czasem kulkę posłał. Raz, ani wybrany ani co, zapędziłem się za okrutnym wilczyskiem. Nawodził mię długo po wertepach, nim nareszcie połknął strzał. *Kazałem go tedy pieskom pilnować*, bo futro tegie miał a ja mam marzył bez wilczury, sam zaś poszedłem jeszcze cokolwiek w bór, bo mi znów zamajaczył wilk. Patrę, aż tu nie jeden, lecz *cztery ogromne zgłodniałe wilczyska* wloką się jeden za drugim, krwawe ślepie we mnie wlepiając. Ja łap za strzelbę, a tu niema naboju, bom się nie wybrał, jakom rzekł. Co tu począć? Nie było czasu do namysłu; oderwę ja guzik okrągły od żupana, ot ten sam, co go mam w tej chwili, uczipię cienki szpagacik u uszka, com go miał do przytracania zwierzyny, a guzika brylantowego szkoda było tracić, nabiję ja tym guzikiem jak kulka, przysiądę, i jak palnę! pierwszemu wilkowi prosto w łeb... tak moja kulka, panie kochanku, wzdłuż przez wszystkie cztery wilki przeleciała, nanizawszy je na szpagacik, jak paciorki, i dopiero w ostatnim uwięzła, dla tego, że jęj dalej lecieć szpagacik nie dał, bom go sobie drugim końcem do drugiego przytwierdził guzika. A no wilki, panie kochanku, przełknawszy jedną dyamentową kulkę, żywe, jeno nanizane, pędzą ku mnie! Tedy ja hop! i wskoczyłem na okrutnej wielkości dąb tam się znajdujący. Więc wilki siadły pod dębem, a ja na dębie i myślę, co tu robić? bo trzymam ich niby psów na smyczy, a puścić nie chcę, dla dyamentu! Siedzę tak panie, siedzę, zejść się boję, a noc nadchodzi i trzeba było o noclegu pomyśleć. A była w dębie dziupla. Więc spuszczam ja się w tę dziuplę, i spadam na coś miękkiego, co jęknęło! Dobryś! myślę sobie, schroniłem się do niedźwiedzia, który tu snadź zimę, jako ich zwyczaj, przysypia; będę ja tu miał nocleg. A no zesunąwszy się z niedźwiedzi kuddłów, rozpalam jarzący ogarek, com go szczęściem miał w kieszeni, i rozświeciwszy ono niedźwiedzie mieszkanie, patrę: niedźwiedź, panie kochanku, ogromny, acz młody, leży na posłaniu z liści i patrzy na mnie gniewnie, iżem to mu sen przerwał; wkoło pajęczyna, próchno, ot zwyczajnie, jak w wypróchniałym dębie. Ckliwo mi się jakoś zrobiło w takiej alternatywie, panie kochanku, nalałem sobie tedy czararkę z oplataną

butelki, com ją miał przy sobie i piję. Aż niedźwiedź snadź miód dobry zwąchawszy, podnosi głowę kudłatą i spogląda na mnie wyraziście! Tandem, myślę ja sobie, czy niedźwiedź, czy nie niedźwiedź, zawsze gospodarz! a ja gość w jego chacie! grzeczność nie zawadzi. Powiadam tedy: W łapy waszmości, mości gospodarzu! — i wypiwszy czararkę, nalewam drugą, a on ci też rozdziawia paszczkę okrutną! Więc wlałem weń zwolna czararkę miodu przystojnie, niedźwiedź się obliżał, przespaliśmy noc za pan brat, a nazajutrz, wypiwszy znów z gospodarzem moim po czarce, gramolę ja się na świat z niedźwiedzią izbą. Patrę, aż on niedźwiedź za mną lezie, ze snu zimowego miodem orzeźwiony. Wylałszy, stoczył się na ziemię. Tedy mi koncept przyszedł do głowy i przywiązałem mu do nogi on szpagacik, na którym wciąż od wczora wilki siedziały, jak psy, pod drzewem. Chciały ci one się szarpać, ale co niedźwiedzia szarpną, a on ryknie, to one przycupną, i sza! I siedzi niedźwiedź ów pod drzewem, przychylnie na mnie patrząc. Tędym nabrał ducha, zlałem tuż wedle niedźwiedzia, aby mieć w nim od wilków obronę, i idę do domu. Spojrzę, a niedźwiedź idzie za mną, ciągnąc za sobą rzedem i wilki. Więc mu jeszcze czararkę miodu nalałem, pogłaskałem, i idziemy już razem po przyjaźni. Po drodze znalazłem moje pieski, włożyłem niedźwiedziowi na grzbiet zabitego wilka, a potem i sam nań wsiaadłem, a pieski za wilkami biegły, porządku pilnując. Tak zajechałem do domu. I ten to sam, panie kochanku, jest niedźwiedź, który obecnie waszmości usługuje. A no, zważże teraz, panie kochanku, że niedźwiedź, ot czararkę miodu po bratersku ze mną wychyliwszy, dał się ugłaskać i przyjacielem mi został na życie, a nie wstyd to będzie waszmości, panie kochanku, muięj serca od niedźwiedzia okazać, a Słotwinówki mojej odmówić? he?

— Już niech się wszystko stanie po woli waszej książęcej mości — odpowiedziałem ze śmiechem. Poczem natychmiast skrypt ów spisano i zadzierzawiłem Słotwinówkę i dorobiłem się na niej grosza, i żony, i dziełek, z braterskiej księcia łaski, za co Panie święć nad duszą jego na wieki!

SŁÓWKO O BAŚNIACH LUDOWYCH.

Baśni ludowe nie darmo są lubiane przez wszystkie dzieci, obdarzone bujniejszą wyobraźnią, snadź młodzież czuje, że w bajkach tych jest coś dobrego i ważnego. Ze to coś jest w nich istotnie, na to zgadzają się już dziś najuczciśsi ludzie; a jest

*) Pan Cetner, wielki pan, wielki myśliwiec, i serdeczny Radziwiłła przyjaciel.

to zawsze jakaś głęboka prawda moralna, która główną istotę bajki stanowi. Prócz tego uczeni badacze odnajdują dzisiaj jedne i te same baśni na całym niemal świecie, tak w głębi Indyi, jak i tu u nas w Polsce, zachowane w ustach niepiśmiennego ludu z małemi tylko zmianami. Dla badaczy jest to niezmiernie ważne odkrycie, bo z niego, między innemi, czerpią oni wiadomości o pochodzeniu wszystkich ludów, i o drogach, jakimi one z pierwotnej kolebki swęj w Azji wyszedłszy, rozchodziły się po całym świecie. A te wiadomości prowadzą do coraz innych. Dla tego to uczeni i poważni ludzie lubią tak, jak i dziecięcki, słuchać baśni ludowych, i spisują je skwapliwie. Że zaś nie wszyscy mają sposobność poznać takie baśni, przeto chcemy niektóre z nich, nadające się do tego, spisać w formie dramatycznej dla naszych kochanych czytelników, może w części także z temi skarbami ludowemi nieobeznanych.

KOPCIUSZEK.

Basń ludowa zastosowana do przedstawienia scenicznego,

w II AKTACH,
przez M...a.

(Scena przedstawia izbę w dworcu wiejskim; dwie siostry, starsza i młodsza, dokończają ubierać się bogato i pięknie, śpiesząc się i rozmawiając; najmłodsza, zwana Kopciuszkiem, odziana kuso, wązko i odarto, w spodniczce i kaftaniku, pomaga siostronom stroić się, pali na kominku, przynosi dREWKA i wodę, i grzeje śniadanie).

STARSZA.

Prędjź, siostró, śpiesz co siły,
Żebyśmy się nie spóźniły,
Najpiękniejsze bierzmy stroje,
Bo tam państwa będą roje,
Jako bywa na odpuscie.

MŁODSZA.

Szal ten włożyć mi pomóżcie..

(Kopciuszek biegnie i stroi siostrę w szal).

MŁODSZA.

Co tam państwo; król sam z dworem
Pono jechać ma tam borem,
Na odpuscie pewno będzie..
Gdybyż zasiąść w pierwszym rządzie,
Gdyby widzieć cuda owe,
Jużbym dała choćby głowę!

STARSZA.

To też prędjź! ach, co siły!
Abyśmy się nie spóźniły.
Ty, Kopciuszk, daj śniadanie!

MŁODSZA.

Już ochoty nie mam na nie.

(Kopciuszek podaje śniadanie, siostry jedzą i piją śpiesznie),

KOPCIUSZEK.

Ach, i jabym także chciała
Widzieć króla!

STARSZA.

Tys za mała;
Na tak wielkie zgromadzenia,
Nie masz nawet i odzienia.

MŁODSZA.

Znaleźć byś się nie umiała,
Boś Kopciuszek i za mała.
Czekaj, przyjdzie pora na cię;
Jedz i pij, i baw się w chacie.

(Słychać palenie z bicia i zajeżdżającą kolasę).

STARSZA.

Zajechała już kolasa.
Prędjź! mila z tąd do lasa!
Kopciuch, podaj okrywadła!

KOPCIUSZEK (z płaczem podając okrycia od kurzu).

A cóż ja tu będę jadła?...

MŁODSZA.

Prawda! my przez zapomnienie
Wszystko zmiotłyśmy jedzenie!

STARSZA.

Nic to; są tu trzy bułeczki,
Chociaż twarde, lecz grzaneczki
Dobre będą z nich; Kopciuszk,
Rozmocz w wodzie je w garnuszk,
To na obiad, na śniadanie,
Na wieczerezę tobie stanie.

(Wybiegają obie z wielkim pośpiechem, słychać znów palenie z bicia i turkot odjeżdżającej kolasy. Kopciuszek płacząc stoi i patrzy na trzy bułeczki, które w pośpiechu rzuciła na stół starsza siostra; po chwili siada przed kominkiem i nalawszy wody w garnuszek, grzeje ją i śpiewa smutno, ocierając oczy).

KOPCIUSZEK.

Moje siostry wielkie panie,
Piją kawę na śniadanie,
A ja wodę grzeję sobie
I bułeczkę w nią rozdrobie.

Moje siostry wielkie damy,
Mają suknie z srebrnej lamy,
A jam Kopciuch i obdarta,
Bom lepszego snadź nie warta.

Moje siostry tam w kościele
Ujrzą króla, państwa wiele,
Bo są mądre, bo są piękne,
A ja tutaj w kącie klęknę...

(Kłęk do modlitwy płacząc, odwrócona od drzwi, przez które wchodzi cicho uboga staruszka z sakwami na plecach i żebrze mruczając i wdychając. Kopciuszek wstaje).

KOPCIUSZEK.

Cóż dać, kiedy na dzień cały
Trzy bułeczki siostry dały..
Ha... to weźcie bułkę jedną

Boście babciu bardzo biedną,
A mnie jeszcze dwie zostanie.

(*daje bułkę*).

UBOGA.

Oddaj w stokroć, Boże Panie!
(*odchodzi*).

KOPCIUSZEK.

Ot przepadła mi wieczera!
Trzebaż klęknąć do pacierza.

(Kłęk jak wprzódy, wchodzi dział ubogi i prosi mrucząc, Kopciuszek wstaje).

KOPCIUSZEK.

Dwie bułeczki... to niewiele,
Ha! to jeszcze się podzielię;
Macie bułkę, dziadku siwy.

DZIAD.

Niech ci Bóg da wiek szczęśliwy.
(*odchodzi*).

KOPCIUSZEK.

Więc i obiad mi przepada!
Oj, sierocie biada, biada!
Aleć jednej bułki stanie;
Skończę pacierz, zjem śniadanie.

(Kłęk jak poprzednio, wchodzi ubogi, kulawy, skurczony, cały owinięty płachtą i prosi mrucząc. Kopciuszek wstaje).

KOPCIUSZEK.

Co tu robić? bułka jedna,
A to może też jest biedna
Sieroteńka, nędzna, chora...
Macie bułkę — jadłam wczora.

(Chce jeszcze raz klęknąć, gdy ubogi prostuje się, płachta spada i ukazuje się starzec prosty, poważny o białej jak srebro ogromnej brodzie; Kopciuszek cofa się zdumiona; starzec, trzymając swą płachtę zwieszoną na ręce, mówi):

STARZEC.

Czego za pierwszą bułkę chcesz? mów, a wnet się
[stanie!]

KOPCIUSZEK (*składając ręce ucięższona*).

Niech moje siostry staną się jeszcze większe panie!

STARZEC.

Czego za drugą bułkę chcesz? Wnet da Ten, który
[rządzi światy!]

KOPCIUSZEK.

Niech na mogile ojców mych wzrosną piękne kwiaty.

STARZEC.

Czego za trzecią twoją tę żądać chcesz bułeczkę?

KOPCIUSZEK.

Żebym zobaczyć króla dziś mogła, choć troszeczkę!

STARZEC (*potrzasa płachtą, z której wypadają stroje*).

Wdzięj te szaty, jedź do lasu,
Jedź na odpust, nie trać czasu,
Módl się szczerze, mów niewiele,
Będzie tak przez trzy niedziele.

(Starzec wychodzi; Kopciuszek zdumiona stoi przez chwilę prawie nieprzytomna z podziwu, potem nagle zaczyna się stroić, skacząc z radości i śpiewając).

KOPCIUSZEK.

Moje siostry wielkie panie,
Lecz i mnie się też dostanie
Co dobrego na tym świecie;
Na mogile wzrośnie kwiecie!
Aż trzy suknie! wszystkie moje!
Co raz w inną się ustroję.
Co za śliczne! co za cudne!
Którą wziąć? to rzeczy trudne!

Kapelusze! pióropusze!
Śpieszyć muszę! jechać muszę!
Szale, krezy, rękawiczki,
I trzewiczki! Ach! trzewiczki!

(W uniesieniu radości zaczyna tańczyć ze złotymi trzewiczkami w rękach, wtem słychać palenie z bicia i ogromny turkot, Kopciuszek biegnie do okna).

KOPCIUSZEK.

Już karoca zajechała,
W sześć rumaków! złota cała!

(Kopciuszek powinien przez czas tej śpiewki, kładąc stroje na swoje dawne odzienie, zdążyć ubrać się wspaniale, jak wielka i wykwinna pani, a teraz już w złotych trzewiczkach kłania się uczonym ukłonem publiczności, mówiąc):

KOPCIUSZEK.

Teraz jadę do kościoła,
Niech mię pozna, kto podola!
Tylko proszę cicho siedzieć,
Moim siostron nie powiedziéć!
Bo rzekł starzec: „Jedź do lasu,
„Jedź na odpust, wróć zawczasu,
Módl się szczerze, mów niewiele!
(*kładzie palec na usta*).

Będzie tak przez trzy niedziele!...

(Kłania się i wychodzi z wielką powagą; słychać znów palenie z bicia i turkot odjeżdżającej karocy).

AKT II-gi Kopciuszka.

(Wszystko jak w pierwszym akcie; Kopciuszek warzy coś w kominie; dwie starsze siostry stroją się, choć nie do wyjścia).

STARSZA.

Śpieszmy, śpieszmy się co siły,
Byśmy już ubrane były
Gdy panowie chodzić zaczną
Z ową miszą swą dziwną.

KOPCIUSZEK.

Co za misza? co się stało?

MŁODSZA.

Cicho! jeszcze ty za małą
Żebyś wszystko mogła wiedzieć.

STARSZA.

A i czemuż nie powiedziéć?

MŁODSZA

Prawda! Wiedźże, iż ta dama,
Która trzykroć będąc sama,
Lecz w poszóstnej swęj karocy,
Co tak śmiga jakby z procy,

W parafialnym tu kościele,
 Którą wszyscy co niedzielę
 Mało wzrokiem swym nie zjedzą,
 A kto ona, próżno śledzą,
 Bo tak znika z swą karocą
 Z przed kościoła, jak duch nocą —
 Że i króla owa pani
 Zaciekawia, tak, że dla niej
 Kazał wczoraj smoły beczkę
 Przed kościołem, tak jak rzeczkę
 Rozlać w okół, aby dama,
 Do karocy biegnąc sama,
 Niby mucha się złowiła —
 Lecz ją broni jakaś siła,
 Bo przez smołę, jak skrzydlata,
 Przefrunęła biała szata.
 Pani znikła w swą karocy,
 Tylko trzewik w króla mocy,
 Złoty trzewik został w smole!
 Więc na dolę, czy niedolę,
 Król rozkazał swym ministrom
 Wnet rewizyą zrobić bystrą
 W całej naszej okolicy,
 Wyszukując tu dziewicy,
 Od pałacu aż do chaty,
 Czy ubogiej, czy bogatej,
 Którą nóżka się pomieści
 W on trzewiczek — cud-niewieści,
 Co ugrzęznął w smołę ona!
 I ta będzie króla żoną!

STARSZA.

Aż się trzęsie w okolicy,
 Tak szukają cud-dziewicy!
 Ja mam nogę dosyć małą... *(ogląda swoje*

nóżki).

MŁODSZA *(ogląda swoje).*

Ale na co to się zdało!
 Ja widziałam tamte nóżki,
 Tamten trzewik, jak dla muszki.

STARSZA.

Gdyby uciąć trochę pięty?...

MŁODSZA.

Albo palec ten zagięty?...
 Pójdź, spróbujęm wzajem obie...

(Dwie starsze siostry wychodzą, Kopciuszek, która dotąd siedziała skulona przy kominie, z twarzą ukrytą w dłoniach, odsłania twarz, i mówi przerażona).

KOPCIUSZEK.

Cóż ja teraz biedna zrobię?
 Wczoraj, w trzecią już niedzielę,
 Byłam znowu tam w kościele,
 Przed kościołem w smole owęj
 Ugrzązł trzewik dyamentowy,
 Dyamentowy i złocisty,

A ja zdrady oczywistęj
 Ledwo uszłam chyżym biegiem,
 Przed ciekawych ócz szeregim.
 Teraz trzewik mierzą wszędzie,
 O mój Boże, cóż to będzie?...

(po namyśle).

Ej, co ma być, siostrom zmierzają,
 Ich obute nóżki świeżo,
 Na Kopciuszka obdartusa,
 Chociaż nóżka mała, kusa,
 Nikt nie spojrzy, ot i kwita!
 A tam kogo siostra wita?...

STARSZA *(wchodząc wraz z panami).*

Ale nie tu, nie, panowie,
 Mości króla ministrowie,
 Lecz naprzeciw, do świetlicy!

I-szy z PANÓW.

Rzą koniki na ulicy,
 Niema czasu! W imię króla!
 Chłopka, panna, czy babula,
 Jakakolwiek tu się chowa
 W waszym domu białogłowa,
 Z królewskiego polecenia
 Niech da nóżkę do zmierzania!

(Wchodzi młodszą siostrą, Kopciuszek kryje się w kąt).

STARSZA.

Dwie nas tylko w całym dworze.

II-gi PAN *(kłaniając się dwornie).*

Z tych królową jedna może!
 Stawcie nóżkę tu na ławie,
 Złoty trzewik będzie prawie.

(Starsza siostra stawia nogę na ławie, jeden z panów przykłada i mierzy złoty trzewiczek, inni patrzą ciekawie).

WSZYSZY PANOWIE.

O ho, ho, ho, to nie ona!
 Dwakroć większa i zraniona:
 Nie twa nóżka, panno miła,
 Trzewik w smole zostawiła,
 Nie tyś piękną panią ową,
 Nie ty będziesz nam królową!

PIERWSZY PAN.

My królewskie wierne sługi,
 Panieczki prosim drugiej!
 Z królewskiego polecenia,
 Prosim nóżki do zmierzania!

(Młodszą siostrą stawia nogę na ławie, jeden z panów przykłada i mierzy złoty trzewiczek, inni patrzą ciekawie).

WSZYSZY PANOWIE.

O ho, ho, ho! to nie ona!
 Dwakroć większa i zraniona:
 Nie twa nóżka, panno miła,
 Trzewik w smole zostawiła,
 Nie tyś piękną panią ową,
 Nie ty będziesz nam królową!

I-szy PAN.

Czy już żadnej tu domowej
Niema wcale białogłowy?

STARSZA.

Niema żadnej, prócz Kopciucha,
Który Bogu winien ducha (*wskazuje skrytą*),
Ale to nie właścicielka
Złocistego pantofelka,
Bo po smole, czy też rosą,
Zwykł ten Kopciuch biegać boso.

I-szy PAN.

Złamać rozkaz ja nie mogę:
Héj, Kopciuchu, dawaj nogę!
Dajcie ją tu, choć ucieka,
Jakby bała się człowieka,
Choćby miała oddać duszę,
Taki rozkaz! zmierzyć muszę!

MŁODSZA.

Nie bój że się, postaw nogę,
Bo tym panom pilno w drogę.

(Panowie gwałtem przyprowadzają zawstydzonego Kopciuszką,
jeden z panów przykłęka, mierzy trzewik złocisty, i wszyscy wy-
buchają okrzykiem).

PANOWIE.

Aż za duży!

OBIE SIOSTRY.

Co to znaczy?!

I-szy PAN.

To się późniéj wytłómaczy!
Widzę jasno, na mą dołę,
Czemu trzewik został w smole!

WSZYSCY PANOWIE.

Bo za duży!

I-szy PAN.

Oto ona!
Jegomości króla żona!

(Panowie oddają głęboki ukłon Kopciuszkowi).

I-szy PAN.

Dajcie płaszcz królewski dla niej!

(Panowie wkładają wspaniały płaszcz królewski Kopciuszkowi).

I-szy PAN.

Héj, karoca naszég pani!

(Słychać palenie z bicia i turkot zajeżdżającej karocy).

II-gi z PANÓW.

Już karoca jest gotową!

I-szy PAN (*podając ramię Kopciuszkowi*).

Chciéj iść zatém, o królowo!

Niedaleka droga zgola:

Prosto na ślub do kościoła!

(Wyprowadzają Kopciuszką-królową z wielkiem uszanowaniem).

(*Zasłona spada*).

TAJEMNICA RODU.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

(Dokończenie).

Okoliczność, że Marek miał iść pod bezpośrednie rozkazy Kalinowskiego, tém skwapliwiej podciągała go na tę wyprawę, bo poważny jego i poetyczny umysł nie miał zwyczaju zapominać nic, tém silniéj też roku owego wraz z budzącą się wiosną i ze sprzyjającymi okolicznościami, zbudziły się w duszy rycerskiego młodziana dziecinne jego niegdyś marzenia i zamiary, dotyczące tajemnicy rodu jego, spoważniałe jeno z czasem miast osłabnięcia.

Tém niecierpliwiéj też, po młodzieńczemu zupełnie, w ostatnich już chwilach odjazdu, wydając ostatnie rozkazy krótkim i stanowczym tonem przywykłego do rozkazywania wodza, młody ten wódz spoglądał co chwila przez wąskie okno sypalni swéj, sypialni Żółkiewskich, wypatrując gorąco oczekiwanego brata. Jan spóźniał się; nie było zaś ku temu żadnej ważnej, wiadomej przyczyny, a nie wypadało, aby chorągwie jego wyruszyły w pole bez własnego dowódcy, byłby to zły przykład, niedbalstwo, nieprzyzwoitość jedném słowem. Dla tego też Marek tak niecierpliwie Jana wyglądał, wiedząc, że mimo wszelkich płochoci i krewkości, przecież obowiązek stał zawsze na pierwszém miejscu w sercu starosty jaworowskiego. Nagle, za jeszcze jedném przez okno spojrzeniem, gdy ręce wodza jeszcze jakieś papiery porządkowały, zadziżał on na widok, nie Jana wśród pocztu swego, ale pojedynczego dworzanina w barwie Sobieskich, który wyciągniętym kłusem, co koń podola, wpadł na zamkowy podwórzec.

— Ani chybi, coś niedobrego z Janem, Boże! miej go w świętég opiece twojég!... — pomyślał starosta krasnystawski, dając przytém najspokojniéj na pozór ostatnie rozkazy otaczającym go podwładnym wojakom, gdy w tém drzwi komnaty rozwarły się gwałtownie, i weszła przyspieszonym krokiem Teofila Sobieska, kasztelanowa krakowska, we wdowich wieczystych szatach, z ogniem w oku, z płomiennym rumieńcem gniewu na bladém licu, z otwartym listem w ręce. Rycerze podkomendni w jednéj chwili znikli z komnaty; kasztelanowa rzuciła przyniesiony list na stół przed starostą krasnystawskim, milcząc, lecz z takim gestem gniewnego uniesienia, jakby ten gniew i ten list do samego młodego wodza się odnosił.

Wódz wziął list spokojnie na pozór, a widząc dość długie pisanie, przebiegł je tylko oczyma po-

śpiesznie, aby jeno sensu się z licznych dobać frazesów, poczem wsunął to pisanie w zanadrze po za stal zbroi, przeznaczając je oczywiście do odczytania wolniejszą chwilą, stłumił westchnienie i przykląkł w milczeniu przed matką. Kasztelanowa obie ręce położyła na głowie pierworodnego swego, oczy podniosła w górę na hebanowy krzyż Żółkiewskich, i przez długą chwilę zaciśniętymi ustami a gorejącem sercem wzywała błogosławieństwa Bożego na tę głowę... Gdy matczyne ręce uniosły się, zaciskając wzajem modlitewnie, wódz powstał; wtedy ona sztywnym ruchem miarowym wskazała mu tarczę Sobieskich herbową i wymówiła matek spartańskich polecenie;

— Z nią, albo na nią!

Wódz głowę schylił poważnie na znak, że to polecenie przyjmował i wyszedł pewnym krokiem z komnaty, ostatniem w niej spojrzeniem resztki zgruchotanęj zbroi pradziada Żółkiewskiego żegnając. Gdyby to ostatnie spojrzenie padło było na matkę, wódz ujrzałby był po raz pierwszy w życiu dwie grube łzy po jęj zoranem nieruchomem licu płynące... Ale prawie tejsze chwili zaciśnięte ręce wdowy podniosły się ku niebu, gniew trysnął znowu oczyma, imię Jana zadrgało na ustach... i macierzyńskie serce z trudnością załedwo powstrzymało te usta od wyrzeczenia ciężkich na młodszego syna rzuconych wyrazów, które już na nich błędziły...

Po raz to pierwszy Marek wyjeżdżał w pole bez brata, a matka słusznie pragnęła i żądała zawsze, aby jeśli kiedy, to w takich właśnie razach synowie jęj wspierali się braterskiem ramieniem. Nieistnienie gwałtownego niebezpieczeństwa nie znać było tu nic, bo w wojowniczych i buntowniczych owych chwilach niebezpieczeństwo mogło zjawić się z dziś na jutro, a zaś, co powiększało do nieśkończoności gniew i żal matki na młodszego syna, było to, że przyczyną jego niestawienia się na stanowisku była choroba z ran, odniesionych w pojedynku. Jan, mimo całej swęj zręczności w szermierce, leżał porąbany szpetnie w mieście Lwowie, niezdolny nawet pisać własnoręcznie. A cały, tylko co przyniesiony list, pisany za jego dyktowaniem, długi i kręty okrutnie mimo misternego wystylizowania zdradzał, że przyczyną pojedynku była znów jedna z tych burd marnych, których Jan tylokrotnie się już przed matką, bratem i samym sobą zarzekał.

Młody wódz krótkimi słowy przemówił do swego rycerstwa, zawiadamiając zarazem braterskie szyki o chorobie Jana, i ruszył w pochód na ich czele. Na piersi miał braterski list, w którym obok wszystkich retorycznych figur i ozdób, mających za cel zmniejszenie popełnionej winy, dźwię-

czał przecież szczerzy łzawy żal i gniew na własny nierozum, który Janowi w towarzyszeniu bratu przeszkodził.

Był to miesiąc Maj, wiosna wczesna i rozkoszna budziła świat do życia i szczęścia, okolice prześliczne zamieniały pochód rycerstwa w miłą, choć przydługą trochę przechadzkę. W najweselszém usposobieniu szło rycerstwo, gdy zbliżając się ku okolicy, w której powinien był znajdować się oboz hetmana polnego Kalinowskiego, posłyszało gęste strzały; przyspieszyło kroku, i dostawszy się na małe płaskowzgórze, które mu dotąd zasłaniało widnokrąg, ujrzało tuż prawie u stóp swych dziwny, bo niespodziewany i przerażający widok...

Strasza hurma kozacka z jednej strony, a tatarska z drugiej zalegała nieprzejrzaną okiem równinę, cała krociowa potęga chańska i Chmielnickiego, pośrodku stał maleńki obóz Kalinowskiego, a w nim gotowa do boju garść polskiego rycerstwa, zgroza powiedzieć, kilka tysięcy załedwie.

Dwie nawały, kozacka i tatarska, złączone już ze sobą w oddali skrzydłami, otaczały garść tę zamkniętą zewsząd pierścieniem, a teraz zwolna, jakby dla przedłużenia igraszki, ścisły ten pierścień; można było dokładnie obrachować, za ile chwil rycerstwo Kalinowskiego, choćby z samych bohaterów złożone, musi być zgniecionem na miazgę, niby w węzowym pierścieniu.

Prowadzone przez Marka rycerstwo było także małą garstką, idącą pod rozkazy Kalinowskiego, wdanie się nowoprzybyłych nie mogło żadną miarą wpłynąć na losy zamkniętych w pierścieniu, bo jedni i drudzy razem niczem byli w porównaniu z bezmierną potęgą nieprzyjaciół. Było to tak jasne, że na pierwszy rzut oka każdy z nowoprzybyłych uczuć to musiał, to też w pierwszej chwili wszyscy mimowoli skłonili tylko głowy głęboko w uroczystem milczeniu, patrząc na zawartych w pierścieniu, jakby patrzali na przesuwający się pogrzeb...

W tejsze chwili ujrzało samego hetmana, występującego przed szyki swoje; grad strzał zasypał go natychmiast, jakby w odpowiedzi na ruch ten. Marek nieruchomy dotąd, zadrżał na ten widok, w mgnieniu oka, jak zwykle przy śmierci, stanęła przed nim cała przeszłość i przyszłość, Justus, tajemnica rodu, klątwa prababki, potrzeba zadocznienia, wuj Daniłowicz, brat Jan ukochany, uwolniony od klątwy może... Marek z płomiennem okiem, z jaśniejącem nieziemsko licem, zwrócił się nagle do swoich szyków, wołając:

— Komu życie miłe, niech wraca pod wodzą pana Ordegi, póki nas nie ujrzało; za dwa pacierze ani jeden nie ujdzie, kto tu zostanie, żegnajcie

Ja mam osobistą sprawę z panem Kalinowskim, muszę go bronić.

Ordega pochwycił mu konia za cugle w chwili, gdy spinał go ostrogą, aby rzucić się w krocie nieprzyjaciół:

— Darujcie, przebaczcie, spojrzawszy na was, jak na niwę kwietną, żał mi się was zrobiło, żał dla ojczyzny. Ale, snadź taka wola Boża. Daruj i ty, bracie Ordego. A teraz... w Imię Boże!

Wódz ujął swą szablę za ostrze, rękojeścią jej,



Cztery ogromne wilczyska (str. 323).

— Komu życie miłe? — powtórzył Ordega, patrząc wodzowi w oczy. — Życie? pod moją wodzą? a jam to czém na to słowo zasłużył?

— Życie i hańba?... — powtórzyło rycerstwo.

Wódz konia powstrzymał, zwrócił się ku rycerstwu swemu i rzekł doń z serdecznym uśmiechem:

kształt krzyża mającą, przeżegnał rycerstwo swoje, i z okrzykiem:

— W Imię Boże! — prowadził je w bezdnie nieprzyjacielską ku obozowi polskiemu.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, garstka ta powinna była odrazu utonąć w owój bezdni,

a jednak natarcie było tak szalone, że przebiła się jeszcze aż do obozu. Widziano Marka, zasłaniającego własną piersią starca hetmana. Co się dalej stało, nikt nie wie.

Znana w historii klęska pod Batowem, wedle zdań historyków, porównaną być może tylko do klęsk bohaterskich Rzymian pod Kannami i w lesie Teutoburskim. Tajemnica okrywa ją dziś, jak okryła natychmiast po spełnieniu, bo z Polaków 9,000 kwiatu rycerstwa, ocalało głów *dziesięć* a to z ludzi najpodrzedniejsze zajmujących stanowiska; dowiedzieć się od nich nie można było wiele. Kozacy zaś ani Tatarzy nie pisali historii. Wersye są najrozmaitsze, po które odsyłamy czytelnika do historii. Między innemi, Chmielnicki podobno za 30,000 czerwonych złotych kupił jeńców polskich, jakich Orda chwyciła, wysadzono Kantemirową niegdyś Ordę Nogajską do spełnienia niezwykajnej w dziejach świata srogości, i przez całe *trzy dni* ścinano Polaków pod namiotem Bogdana Chmielnickiego i Wychowskiego.

Tak zginął pod Batowem kwiat młodej szlachty polskiej. Ciężka żałoba pokryła kraj cały, jak szeroki i długi; nie było znakomitszej rodziny, któraby nie została dotkniętą.

Nieszczęśliwa matka Sobieska, straciwszy w obronie ojczyzny dziada, wuja, brata i syna, niedługo przeżyła cios ostatni, poświęciwszy resztę życia pobożnym dziełom i fundacyom. W jednym z dokumentów fundacyjnych, do dziś istniejącym, pani ta tak się wyraża roku 1653.

„Ja, Teofila z Żurowa na Żółkwi Sobieska, ka-
„sztelanowa krakowska, płacząca codziennie śmier-
„ci miłego pierworodnego syna mojego Marka So-
„bieskiego, starosty krasnostawskiego, pułkownika
„i rotmistrza J. Kr. M. kwarcianego, który za
„chwałę Bożą, za kościół Jego święty, za ojczyznę
„miłą i Rzeczypospolitą całość, z ordy pogańskiej-
„mi złączonemi z zdracliwemi rebelizantami Bogu
„i Panu, kozakami, przykładem odważnych przod-
„ków swoich wojując, mnie rodzicielce utrapionej
„do dalszej pociechy, sobie i miłej ojczyźnie do
„większej ozdoby, pomocy i sławy, nieustraszoną
„śmiercią na placu marsowym zagroził drogę —
„ja (mówię) rodzicielka płacząca, chcąc ostatni akt
„macierzyński kochanemu prawdziwie, a o krzy-
„wdę Bożą, o dobro Rzeczypospolitej powszechnie
„zastawiającemu się synowi, skutecznie potomnemi
„czasy wyrazić i oświadczyć wiekuistą pamiątkę—
„fundacyą niniejszą w dobrach moich macierzy-
„stych dziedzicznych czynię.

W dziesięć miesięcy po klęsce batowskiej, zakonnicy reguły Ś-go Dominika zostali już wprowadzeni w posiadanie klasztoru, do którego się ten dokument odnosił. Kościół klasztorny poświęcono

pod wezwaniem Ś-go Marka. Jeden z dzwonów klasztornych otrzymał imię Marek.

Roku 1661 spoczęła w Bogu Teofila Sobieska, testamentem zaleciwszy, aby jej sprawiono pogrzeb ubogi. Zastosował się do woli matki Jan Sobieski, odprowadzając pogrzeb ubogi, przy którym widziano tablicę wielką z tym napisem: *Sic mater voluit, Tak matka chciała*, a następnego dnia odbył się drugi pogrzeb tejże Sobieskiej, niesłychanie bogaty i wspaniały, przy którym znów na tablicy stało napisano: *Sic filium decuit. Tak synowi przystało.*

Jan Sobieski ciężko odołał śmierć „swego starszego“ zdawało mu się konieczne, że popełnił zbrodnię, że się zhańbił, nie znalazłszy się przy jego boku w stanowczej chwili, aby zginąć z nim razem. Serdeczny ten żal Jana, zamiast ukoić się z czasem, jak to ze wszystkimi ludzkimi żałami bywa, przeciwnie wzmógł się i przetrwał w sercu starosty jaworowskiego króla Jana III-go do ostatnich tego serca uderzeń, a to i z tej także przyczyny, że dziwnym przypadkiem, czy też zbiegiem okoliczności, zdawało się, jakoby śmierć Marka pod Batowem była istotnie, wedle dawnych młodzieńczych rojeń dwóch braci, jakby zadość uczynieniem, przyjętém przez Sprawiedliwość najwyższą, którego też błogosławione skutki okazały się natychmiast.

Tajemnicze zaklęcie, pod którego ciężarem w ciągu lat 30-u czterech dziedziców Żółkwi wylało krew za ojczyznę, znikło nagle, i dziwne zaprawdę szczęście otoczyło niby puklerzem swym Jana, piątego Żółkwi dziedzica. Trudnoby narażać się bardziej i częściej na śmierć rycerską, niż Jan się narażał w całym dalszym życiu, a szczególnie w pierwszych czasach po śmierci Marka. Zdawało się owszem, jakby wówczas nie po chrześcijańsku wcale Jan pragnął być i żądał, i postanowił zginąć, jak brat jego starszy, a przecież... strzały, kule i szable omijały go jakby umyślnie. Nieustraszone to, rozpaczliwe prawie z razu męstwo, zamiast do grobu, doprowadziło Jana na tron rycerskiego narodu.

Czy rzeczywiście wedle młodzieńczych Jana i Marka domysłów istniało jakieś zaklęcie w ich rodzie? któż to wie... Tyle wiemy, że istniały w istocie jakieś niewyraźne stare niesnaski między rodem Żółkiewskich, Daniłowiczów i Sobieskich z jedną, a Kalinowskich z drugiej strony. I to pewna, że niesnaski te familijne znikły z chwilą, gdy potomek hetmana Kalinowskiego rzucił się z płaczem na szyję Jana na wiadomość, że Marek także rzucił się między hetmana i tatarsko-kozackie pociski i razy. Niema na to dowodów, ale któż zaręczy, że to nie w owej chwili *dom rozdzieleny niegdyś przeciwko sobie*, a więc upadający,

zjednoczył się znowu, a więc ocalonym był, aby ostał się wedle słów Pisma.

Od owéj chwili zaszczyty, dostojęństwa, aż do korony, miłość ludzka, łaska Boska, wszelkie dobra ziemskie i wewnętrzne zadowolenie, owo najdoskonalsze dobro, dobro niebieskie, jakie na wybranych spływa z niebios na ziemię, były udziałem Jana III-go, liczna rodzina zakwitła naokoło niego. Czy jednakże pozostało to wszystko własnością Jana aż do końca jego życia? Na to pytanie łatwo znaleźć odpowiedź dokładną w historii. Jak wiadomo, Jan Sobieski zaślubił z czasem panią Zamojską, dawną pannę Kazimierę de la Grange d'Arquin, owę żarłem przezwaną tak kiedyś *troskę* swojego żywota. I oto znowu niewyraźna przepowiednia starego Justusa sprawdziła się, bo pani Sobieska, Francuzka rodem, nie idąc wcale za starożytnemi tradycyjnie znanemi cnotami matron polskich, stała się podobno w istocie przyczyną ciężkich trosk swego męża i pana, zamiast stać się *koroną głowy jego* wedle słów Pisma. Wadą jéj główną były intrygi, któremi wraz ze swemi zausznikami mąciła spokój króla i kraju. Nie przesadzając win jéj, tyle jest pewném, że Jan III serdecznie i ze łzami przeproszał przyjaciela swego, jednego z najzaciejszych mężów Rzeczypospolitéj za to, że przyrzekłszy mu już znakomity urząd z prawa mu się należącego, musiał następnie przyrzeczenie to cofnąć, aby uniknąć ciężkich do zniesienia swarów domowych.

Mimo te domowe troski, przecież błogosławieństwo Boże otaczało wciąż Jana III-go pod każdym zresztą względem, a trzech dzielnych synów, oprócz córki, byli tego najlepszym dowodem, dopóty, aż gdy ciż synowie wyrósłszy na młodzieńców, nie zostali wciągnięci w mętłą wodę intryg francuzkiéj partyi, która wichrząc w kraju i w rządzie, zawichrzyła także ciężko rodzinny spokój Sobieskich.

Długo i przykro byłoby opowiadać dzieje te smutne domowe, które aż w historii niezaszczytne otrzymały wspomnienie, do niéj też odsyłamy znowu ciekawego ich czytelnika; wspomnimy tu tylko jedną, niestety najprzykrzejszą ze scen rodzinnych domu Sobieskich, wspomnimy ją zaś dla tego, że czepiono do niéj pewną gawędę ludzką, która jakkolwiek nie wspomniana na kartach historii, nadaje się przecież dziwnie na epilog niniejszego opowiadania.

Oto powiadają, że gdy nareszcie za wpływem panów, królewicz najstarszy Jakób pozwolił stworzyć bramę warszawskiego zamku zamkniętą sromotnie, dla dokuczenia królowej matce, w chwili gdy ta dojeżdżała do niéj, towarzysząc zwłokom króla wiezionym z Willanowa; gdy już ustawiono

zwłoki te bohaterskie w zamkowej sali, i gdy w zapalczywéj kłótni nad temi zwłokami stało się, że syn i żona ściągnęli jednocześnie chciwe ręce ku dyamentowéj koronie, błyszczącej na martwém czole bohatera, powiadają, że w téjże chwili zjawił się u stóp zwłok owych dziwny, chudy, małeńki, o czerwonych oczach staruszek, do szkieletu podobny, a we wschodnie szaty odziany, skrzyżował on ręce na piersiach i padł na twarz po trzykroć we wschodnim pokłonie przed zwłokami, a potem ręce suche załamał, krwawemi łzami się zalał i zniknął...

Nikt nie wiedział kto był ten starzec. Starzy tylko słudzy Sobieskich dopatrywali w nim koniecznie owego tajemniczego Justusa z wieży Żółkiewskiej, który ich zdaniem przyszedł swoim obyczajem pożegnać *ostatniego pana swego*, nie uznając królewiczów za swoich *panów* i Żółkwi dziedziców. Starzy owi słudzy uznali, że w owę sromotną chwilę kłótni nad zwłokami zaiskrzyło się na nowo zarzewie staréj kłatwy, ugaszonej niegdyś bohaterską i męczeńską śmiercią Marka: *Dom rozdzielał się znowu przeciw sobie!* Jakby też z walącego się domu uchodząc, rozproszyli się starzy słudzy. I rodzina cała rozproszyła się, i bogate mienie znikło, i w lat zaledwie 30, niepozostało Janowego potomka w prostéj linii na świecie. Wszystko jakby tchem kłatwy zdmuchnięte.

Podobno któryś ze starych sług, wróciwszy zaraz po śmierci króla Jana do Żółkwi dla zabrania swoich rzeczy, powlókł się po długim namyśle na Justusową wieżę, bo przyszło mu na myśl, że Justus zapomniany w ogólném rozbiciu nawy Sobieskich może tam z głodu umierać. Z trudnością dostawszy się do zamkniętéj mędrca izdebki, sługa ów nie ujrzał w niéj nic, prócz dużej sterty popiołu na środku, a po bliższém rozpatrzeniu ujrzał wśród popiołu szczątki naczyń metalowych i... kości ludzkie. Mędrzec niechrześcijanin nie umiał snadź przeżyć rodu swych panów.

Przygody Mysliwskie młodych osadników

W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Ale jak tylko się z lasu wydostał, ujrzał z daleka jeźdźca na koniu i poznał odrazu Williama na girafie. Widok ten uspokoił go i ucieszył niezmiernie, a zbliżywszy się do towarzysza, przekonał się, że ani jemu, ani koniowi, nic się złego nie stało. Spozstrzegł jednak zarazem, że William był zły i rozdrażniony, i chociaż nasz Henryk miał

w tej chwili wielką ochotę do śmiechu, powstrzymał się jednak, aby nie zadrasnąć miłości własnej przyjaciela.

Zapytał więc tylko krótko, co znaczył wystrzał, który przed chwilą usłyszał? William potwierdził skinieniem głowy i wskazał Henrykowi trupa, rozciągniętego na trawie. Nie była to antylopa, ale dziwne zwierzę, zupełnie odrębnej postaci. Obaj młodzieńcy zsiadli z koni i zaczęli mu się uważnie przypatrywać.

Osobliwsze to było stworzenie, wielkości dużego brytana, ale odmiennego kształtu. Z tylniej części ciała, w dół wygiętej, podobne bardzo do hyeny, miało pysk daleko więcej wydłużony, spiczasty, grzbiet wydatniej zaokrąglony, nogi cieńsze. Sierść szara, nieco rudawa, oznaczona czarnymi pręgami, dopełniała podobieństwa do hyeny pręgowanej.

Nie była to jednak hyena, lecz jedno z tych zwierząt, które nie należą właściwie do żadnej rodziny zoologicznej i stanowią raczej jakieś ogniwo pośrednie, łączące pomiędzy sobą odmienne rody zwierzęce. Dziwaczne te twory najliczniej występują w Afryce południowej, tak pomiędzy ptactwem, jak i czworonożnymi zwierzętami. Wspomnimy tu niektóre, jakoto: fenek, antylopa krowia, ptak sekretarz, a nakoniec proteles Lalandy, czyli wilk ziemny, jak go nazywają mieszkańcy przyłodka.

Zwierzę, leżące u nóg naszych myśliwych, był właśnie tym zagadkowym stworzeniem, które przyrodnicy mieszczą to w rzędzie psów, to znów hyen, wiwer, lub lisów, nie mogąc mu właściwego miejsca wynaleźć. Proteles ma rzeczywiście i w kształcie ciała i w obyczajach wiele podobieństwa do wszystkich tych zwierząt, nie tyle jednak, aby mógł być zaliczony do rodziny któregośkolwiek i tworzyć musi w klasyfikacji naukowej rodzaj osobny. Przyrodnik Lalande najpierwszy go opisał dokładnie i stąd mu nawet nadano nazwisko tego uczonego.

Henryk i William znali go dobrze pod nazwą wilka ziemnego; zwierzę przebywa w norze podziemnej, którą wygrzebuje sobie samo. Pospolite jest bardzo w całej Afryce południowej, nawet w okolicach zamieszkałych, chociaż nie łatwo się z nim spotkać, gdyż w dzień zazwyczaj ukrywa się w norze, w nocy dopiero na żer wychodzi. Ale drapieżnik aż nadto widoczne ślady zostawia po sobie i osadnicy nie potrzebują oglądać go na własne oczy, aby obecność jego odkryć w swoich posiadłościach. Dotkliwie szkody, jakie wyrządza, dają się tam dobrze we znaki hodowcom bydła.

W koloniach Afryki południowej utrzymują

odrębny gatunek owiec; ogromne ich ogony sięgające aż do ziemi zawierają w sobie po kilka funtów tłuszczu, który gosposiom tamtejszym służy do wszystkich kuchennych potrzeb. Ten tłuszcz jest ulubionym przysmakiem wilka ziemnego, nie ma on szczęk tak silnych, jak hyena i wybiera pokarmy miększe. Ogony tych wypasionych owieczek tak mu smakują, że zwykle w nocy zakrada się do trzody, a pasterze spostrzegają rano brak szacownych ogonów u najpiękniejszych baranów.

Henryk znał dobrze tego szkodnika, zabił nawet sam niejednego w posiadłości swojego ojca, teraz zaś przypatrywał mu się tak uważnie, bo był ciekawy, gdzie go kula Williama ugodziła. Dziwił się także, z kąd się tu wzięło nocne to zwierzę wśród białego dnia.

— Powiedz mi, gdzie ty się z tym jegomością spotkałeś? — zapytał.

— W własnem jego mieszkaniu — mruknął William niechętnie i wyjaśnił towarzyszowi, że girafa potknęła się nad norą, którą zawałiła, a wilczek przestraszony wyłaził z niej w chwili, gdy William podnosił się z ziemi. Widok ten doprowadził młodzieńca do najwyższego gniewu i zemścił się na zwierzęciu, które się stało przyczyną nieszczęsnej jego przygody, gdyż w innych okolicznościach nigdyby nie był marnował naboju na taką nędzną zwierzynę.

Dwaj młodzieńcy wsiedli znowu na konie i podążyli w stronę, gdzie pozostała zabita antylopa, ażeby sprzątnąć przed żarłocznością hyen i szakali wyborną pieczeń i piękną skórę. Tymczasem nadbiegli Hans i Arend i przyłączyli się do nich. Porąbano zwierzynę na ćwierci, każdy zabrał na konia część łupu i wszyscy razem podążyli do obozu.

Przez całą drogę brzmiały śmiechy wesołe i okrzyki tryumfu, jeden tylko William był pochmurny i milczący, a miał do tego powodów nie mało: strata ulubionego psa go bolała i z tem się nie ukrywał, lecz w głębi duszy przykro mu było także, iż dzielny wierzchowiec dał się zwyciężyć karemu, a i własne myśliwskie niepowodzenie upokorzało go mimowoli i wprawiało w najgorszy humor. Henryk był wprawdzie o tyle wspaniałomyślny, że się nie przechwalał zwycięstwem, ale Hans i Arend nie szczędzili grubasowi różnych żarcików i przycinków.

XVIII.

Strzały zatrute.

Klaas i Janek, pozostawszy w tyle, nie próbowali już dogonić starszych towarzyszy, ale powrócili niezwłocznie do obozu. Nie sądźcie jednak, że tam

byli beczynni, oni zawsze umieli sobie znaleźć jakieś zajęcie. Zresztą od czegoż był Facetan? Malcy niezmiennie lubili starego Buszmana, bo też nikt lepiej od niego nie umiał wynajdować gniazd i zastawiać sideł wszelkiego rodzaju na ptactwo. Z największym zapałem uczyli się od niego różnych dowcipnych sposobów chwytania nieroztropnych ptaszek, a dnia tego, gdy Henryk dokonywał owych bohaterskich czynów, któreśmy powyżej opisali, Facetan przedstawił chłopcom projekt świetnego polowania, o jakim dotąd nie marzyli nawet. Szło wprawdzie także o pochwycenie ptaka, lecz ptaka niezwyklego, olbrzymiego, jednym słowem o zastawienie sideł na strusia.

Facetan postanowił zdobyć wspaniałe pióra samca, który siedział na jajach przeszłej nocy. Nie łatwa to była sprawa; nie mógł liczyć na to, aby strus dał się żywcem pochwycić. Wiemy, jaką siłę posiada olbrzymi ptak i jak szybko biega, skoro najdzielniejszy rumak z trudnością dogonić go zdoła. Buszman nie myślał łapać strusia, ale go chciał zabić, wydrzeć mu szacowne pióra i sprzedać je korzystnie w mieście za powrotem.

Dwaj malcy, dowiedziawszy się o zamiarach Facetana, spokoju mu nie dawali, dopytując się, jakim sposobem myślał upolować strusia? Czyżby chciał pożyczyć strzelby u Williama lub Henryka? Ale nie, stary Buszman nie był wcale wprawnym strzelcem, nie trafiłby z pewnością nawet w słonia, nie umiał nawet trzymać należycie palnej broni. Był on za to doskonałym łucznikiem. Łuk miał niewielki, coś nakszałt dziecięcej zabawki, lecz strzały jego nigdy nie chybiały celu i zawsze śmiertelne zadawały ciosy, tak samo, jak kule karabinowe.

Patrzac na te strzały, z wątpliwą trzciny zrobione, zakończone małym żelaznym ostrzem, trudno było uwierzyć, że ta broń może zabić silne zwierzę. A jednak Facetan nieraz pokonywał niemi bawoły i girafy, strzały te były w jego ręku groźną bardzo bronią. Domysławcie się zapewne, że skuteczność tej broni miała przyczynę utajoną; słabe strzały, z małego łuku wypuszczone, nie zdołałyby inaczej takich cudów dokonywać. Wyjaśnimy więc tę zagadkę: końce strzał Buszmana były zatrute, wszyscy krajowcy afrykańscy używają podobnych na polowaniu i na wojnie.

Ale czyż tylko afrykańscy? Na całym świecie niemal dzicy ludzie używają tej broni, a w dawniejszych czasach, gdy jeszcze nie znano prochu, używały jej także i cywilizowane narody. Zwyczaj zatrutowania strzał wspólny jest także dzikim mieszkańcom różnych części świata. Czerwono-skóry krajowiec Ameryki zatrzuwa je tak samo, jak Buszman afrykański, a jedni i drudzy mają do te-

go prawie jednakowe sposoby, jad wydobywają z różnych roślinnych soków, czasem dodają do tego przymieszkę śliny jadowitych węzów.

Nasz Buszman umiał wybornie przyrządzać tę zabójczą mieszaninę i zawczasu przygotowywał do tego potrzebne materiały. Ile razy który z młodych myśliwych zabił jadowitego węza, on nigdy nie zaniedbał odciąć mu głowy i wysączyć z pęcherzyków, umieszczonych przy szczękach, kilku kropel jadu, które starannie przechowywał w małej flaszeczce. Zbierał także przy sposobności smołę pewnego rodzaju, wyciekającą ze skał w podziemnych jaskiniach. Smoła ta nie ma w sobie żadnych jadowitych pierwiastków, jak to dawniej przypuszczano, służy tylko do zagęszczenia trującej cieczy i nadania jej własności kleju, aby mogła przylgnąć do strzały. Krajowcy amerykańscy używają w tym samym celu różnych roślinnych klejów.

Facetan zabrał się teraz do przyrządzenia swojej trucizny. Najpierw wynalazł kilka krzaczków jadowitej rośliny cebulkowej, rodzaju amarylek, zgniótł korzenie jej w małym glinianym naczyniu, które umieścił na ogniu. Klaas i Janek z nadzwyczajnym zajęciem przypatrywali się tej robocie. Cebula smażyła się zwolna, Buszman wyjął ze swojego zawiniątka flaszeczkę z jadem węza, wlał tę ciecz do naczynia i zamieszał małym patyczkiem drewnianym. Gdy mieszanina zarumieniła się na ogniu, wziął odrobinę na patyczek i pokosztował, tak zupełnie, jak gdyby to był sos, do jakiej potrawy przeznaczony.

Wielkie było zdziwienie naszych malców, gdy to ujrzeli, bo wiedzieli, że kropla, przełknięta przez Facetana, mogła zabić słonia. I wy także czytelnicy, dziwicie się zapewne, niesłusznie jednak, gdyż trzeba wam wiedzieć, że nie wszystkie trucizny jednakowo działają. Gdyby kto przełknął niewielką ilość arszeniku, strułby się niezawodnie, ale każdy mógłby bezkarnie spożyć całą głowę grzechotnika z jadowitemi pęcherzykami. Tymczasem niech tylko odrobina tej trującej cieczy wejdzie do żył, a natychmiast wywołuje działanie zabójcze, podczas gdy arszenik nicby w takim razie nie zaszkodził nikomu.

Nasz Buszman wiedział o tém doskonale, że obrzydliwa jego mikstura nie była szkodliwą dla żołądka, byle tylko nie miał w ustach żadnego zadrażnienia, przez któreby do krwi weszła; dla tego też z takim spokojem ją przełykał.

Gdy już ciecz wysmażyła się dostatecznie, Facetan dodał do niej trochę smoły, zamieszał jeszcze i podgrzał trochę mieszaninę, na koniec odsta-
wił ją od ognia, wyjął pęk strzał ze swego kołczana, zanurzył kolejno każdą z nich żelaznym koń-

cem w truciznie, a gdy obeschły, schował je na powrót starannie. Miał już broń potrzebną do polowania.

Buszman postanowił rozpocząć kroki zaczepne tegoż samego wieczora i upewnić dwóch malców, że nim noc zapadnie, strzały będą w robocie.

XIX.

Podstęp Buszmana dla zwabienia strusia.

Klaas i Janek z wielkiem zajęciem przypatrywali się tym przygotowaniom, lecz więcej jeszcze zajmowało ich zamierzone polowanie. Facetan przyrzekł im solennie, że wszystko odbywać się będzie w ich obecności, a chłopcy uszczęśliwieni niecierpliwie wyglądali wieczora. Strusie po zachodzie słońca zwykle przychodzą do gniazda i Buszman postanowił na nie czatować. Obaj malcy tymczasem uprzyjemniali sobie godziny oczekiwania ożywioną rozmową. Nie wątpili, że polowanie się powiedzie, strzała zatruta nie mogła ominąć strusia, ciekawi tylko byli niezmiernie, jakim sposobem Facetan potrafi zbliżyć się do ptaka o tyle, aby do niego strzelić. Sprawa była tém trudniejsza, że nie wiele miał na to czasu; strusie, zastawszy gniazdo zrabowane, z pewnością nie pozostałyby przy niem na całą noc i trzeba było korzystać z chwili, nim się o katastrofie dowiedzą. Jakim sposobem Buszman potrafi zakraść się tak blisko, aby strzała dosięgła ptaka? żaden z dwóch chłopców nie umiał rozwiązać tej zagadki.

Przypuszczali, że Facetan ma zamiar czatować na przybycie strusi przy samém gnieździe; to był jedyny sposób, aby się z niemi nie rozminąć, bo nie mógł odgadnąć, z której strony nadbiegną. Ale w takim razie gdzież miał się ukryć, aby go nie spostrzegły z daleka? Na całej równinie nie widać było, ani krzaczka, ani większego kamienia, któryby zdołał zasłonić, już nie dorosłego człowieka, lecz kota, czatującego na skowronki. Chyba chciał sobie wykopać dół w ziemi, sposób ten jednak, który może się udać, gdy się ma do czynienia z lwem, słoniem, lub nosorożcem, na nichy się nie przydał ze strusiem. Ptak ten bardzo niesłusznie pomawiany był o głupotę przez dawniejszych przyrodników, przekonano się przeciwnie, że jest nadzwyczaj roztropany i przezorny. Każdy przedmiot zwraca jego uwagę, byстрыm wzrokiem dostrzega najmniejszej zmiany w pobliżu gniazda i nigdy się doń nie zbliży, póki nie obejrzy dokładnie czy mu nie zagraża jakie niebezpieczeństwo.

Ale Buszman nie miał wcale zamiaru ukrywać się przy gnieździe. A więc cóż czynić zamyślał? darmo Janek i Klaas łamali sobie nad tém głowy, nie mogli tego odgadnąć. Facetan na wszystkie

ich pytania odpowiadał tylko tajemniczym uśmiechem. Nie chciał zawczasu zamysłów swoich wyjawiać, wolał, ażeby czyny przemówiły za niego. Dwaj chłopcy zanadto byli dobrze wychowani, aby mu mieli dokuczać zbytnią natarczywością, umilkli więc i przyglądali się tylko pilnie przygotowaniom, czekając niecierpliwie na upragnione widowisko.

Pomiędzy temi przygotowaniemi jedno szczególnie budziło ciekawość naszych chłopaków. Facetan, jak wspomnieliśmy wyżej, uratował szczątki feneka, małego lisa, od żarłocstwa psów, teraz zwierzątko miało mu posłużyć do polowania; rozprostował je, wygładził i rozpiął na kijach w taki sposób, że można je było zdaleka wziąć za żywe. załatwiwszy się z tém wszystkiem, Buszman spojrział na słońce, które już zniżało się ku zachodowi, wziął feneka pod pachę, łuk do ręki i skierował się w stronę, gdzie było zniszczone gniazdo strusie.

Dwaj chłopcy mieli być świadkami tego osobliwego polowania, przypatrując mu się zdaleka. Pomiędzy myśliwskimi przyborami naszych podróżników były dwie wyborne lunety, Facetan poradził im, żeby się w nie zaopatrzyli i obrali sobie wygodne miejsce do obserwacji. Nie mógł on żadnym sposobem zabrać ich z sobą, hoby niezawodnie spłoszyli strusie, które mają wzrok niezmiernie bystry i nie łatwo się dają w pole wyprowadzić.

Tymczasem i starsi bracia powrócili do obozu, wioząc wspaniałą myśliwską zdobycz. Usłyszawszy o przedsięwzięciu Facetana, niemniej je wzięli do serca jak malcy i niezmiernie byli ciekawi, jakim sposobem przebiegły Buszman miał je do skutku doprowadzić. Ale Klaas i Janek, opanowawszy lunety, za nic ich ustąpić nie chcieli i stanęło w końcu na tém, że obaj mieli się wdrapać na drzewo, śledzić ztamtąd ciekawe widowisko i opowiadać wszystko szczegółowo czterem starszym braciom, którzy znów pod drzewami stanęli, poprzestając na wiadomościach telegraficznych, jak mówił żartobliwie Arend.

Nie tracąc więc czasu, dwaj malcy wdrapali się na wierzchołek wyniosłej akacyi, usadowili się wygodnie pomiędzy gałęziami i przygotowali lunety. Z tego miejsca widzieli najdokładniej gniazdo strusie i mogli śledzić wszystkie poruszenia Buszmana.

Wiedzą już czytelnicy nasi, że na około gniazda, na znacznej przestrzeni, rozciągała się jednostajna płaszczyzna, a oprócz kilku większych głazów, nie było nigdzie żadnej wydatniejszej nierówności gruntu, ani krzaczka, nigdzie też nie mogły się tam ukryć nawet kot niewielki. Henryk i Wil-

liam zauważyli to dobrze jeszcze dnia poprzedniego, zaniechali też zamiaru czatowania na powrót strusi, chociaż i im ta piękna zdobycz uśmiechała się także.

Dopiero w znacznej odległości od gniazda, o jakie pięćset metrów najmniej wyrastał pierwszy krzak, za którym od biedy mógł się człowiek schować. Ale to było tak daleko od gniazda, że żadnemu z naszych myśliwych nie przyszło nawet na myśl, aby to stanowisko obrać, bo kula nigdy by ztamtąd nie doleciała do gniazda, a trudno też było przypuszczać, aby strusie przechodziły obok tego krzaka, gdyż dnia poprzedniego przybyły ze strony przeciwnej.

Tymczasem Facetan widocznie w tym krzaku pokładał swoje nadzieje, gdyż zmierzał prosto do niego przyspieszonym krokiem. Postanowił się przy nim ukryć i ztamtąd na strusie czatować. Ale na cóż mu się to przydać mogło? Najwyborniejsza strzała nie jest w stanie przebyć odległości pięciuset metrów, a i trucizna nie działa z daleka. Bądźcie jednak spokojni, nasz Buszman wiedział dobrze co robi. Na dowód, powtórzmy tu dosłownie sprawozdanie dwóch malców, siedzących na drzewie; ci nie spuszczały z oczu starego Facetana i pilnie każdy ruch jego śledzili.

— Już doszedł do krzaka! — wołał Janek — wierzchołka akacy — teraz kładzie łuk i strzala na ziemi, tuż przy krzaku, a sam odchodzi, zmierza do gniazda strusi, trzyma pod pachą feneka. Zatrzymuje się mniej więcej na połowie drogi... nie, bliżej jest krzaka aniżeli gniazda...

— Daleko bliżej — przerwał Klaas — nie doszedł więcej jak dwadzieścia kroków od krzaka.

— Mniejsza tam o odległość — rzekł Henryk — ale co on tam robi; widzę ztąd, że się nachyla.

— A tak — mówił Klaas — postawił na ziemi feneka; o, jak zabawnie wygląda zwierzątko, zupełnie jak żywe.

— Wyborny pomysł — zawołał przyrodnik — Wiem już teraz, co z tego będzie; Facetan chce wabić strusie w tę stronę.

— Ach, tak, tak, niezawodnie! — przywtórzyl Henryk i William.

— A teraz — mówił znów Klaas — idzie dalej do gniazda, już doszedł do niego i obchodzi je około; kiedyniekiedy schyla się, ale nie może dojrzeć, co on tam robi.

— Zdaje mi się — rzekł Janek — że rozgrzebuje gniazdo i tłucze jaja.

— Tak, tak, masz słuszość! — zawołał Klaas — wziął nawet do ręki jedno całe jajo i trzyma je, nie wiem już po co?

Przypominają sobie zapewne czytelnicy, że młodzi myśliwi nie tknęli jaj, znajdujących się

w samém gnieździe, gdyż nie były dość świeże, rozbili z nich tylko parę na próbę.

— Facetan powraca — mówił Janek — trzyma zawsze w ręku to jajo, wyjęte z gniazda... oho! patrzno Klaasie, co on robi; kładzie je na ziemi przy samym pyszczku feneka.

— O ho ho! co to za przebiegła sztuka z naszego Buszmana! — zawołali starsi.

— A teraz powrócił znów do swojego krzaka i przysiadł przy nim na ziemi — rzekł Klaas.

Przez czas jakiś trwało milczenie, przerywane tylko krótkimi zapytaniami starszych, stojących pod drzewem: — Co tam słychać?

— Nic nowego — odpowiadali malcy — Facetan siedzi ciągle ukryty za krzakiem.

Nadzieje Buszmana polegały na praktycznej znajomości historii naturalnej, na spostrzeżeniu, które miał sposobność stwierdzić nieraz, żyjąc na puszczy. Wiedział on, że struś najwyższą ma niechęć do feneka, który niszczy jego jaja, a gdzie tylko natrafi na tego szkodnika, zaraz musi mu kości połamać. Zwierzątko nie jest w stanie ratować się ucieczką, bo struś zawsze je dogoni w jednej chwili; chyba że napotka jaką norę podziemną, lub głęboką szczelinę w skale, inaczej ginie śmiercią niechybną, gdyż jedno uderzenie potężnej nogi strusia gruchoce mu czaszkę na miejscu.

Dla tego to Buszman zabrał z sobą feneka i ustawił go na widoku. Nie mógł on ująć bystrego wzroku strusi, a te chwytając go na gorącym uczynku, nie darowałyby mu z pewnością.

— A co, już biegną strusie! — zawołał Janek, po dłuższym milczeniu.

— Gdzież ty je widzisz? — zapytał Klaas, który nie miał tak bystrego wzroku.

— Po drugiej stronie gniazda, daleko, bardzo daleko — odpowiedział Janek.

— Prawda, prawda, teraz już i ja widzę — mówił Klaas — powracają tą samą drogą, którą uciekały z rana. Jeden, dwa, trzy, samiec i dwie samice. To z pewnością też same, co wczoraj.

— Zbliżają się do gniazda — mówił Janek — już są tuż przy niem... ale co im się stało? Patrz, patrz, biegają naokoło, jak szalone; a jak dziwnie wykręcają głowy i tłuką nogami o ziemię.

— Czy tylko o ziemię — odezwał się Klaas — coś mi się zdaje, że one tłuką własne swoje jaja.

— Niezawodnie — rzekł przyrodnik — strusie zawsze tłuką wszystkie jaja w gnieździe, jak tylko spostrzegą, że je ktoś zburzył w ich nieobecności.

Henryk i William potwierdzili to zdanie.

— A teraz odbiegają od gniazda i zmierzają prosto w stronę, gdzie Facetan urządził swoje łapkę, — wołał Janek uszczęśliwiony ciekawem wi-

dowiskiem — mój Boże, jak pędzą, jak wyciągają szyję! A co! już dopadły feneka, samiec kopnął go nogą, samice rzucają się także na niego, o, jak go tłuką zawzięcie i nogami, i dziobami! Jakież to zabawne, jakie zabawne!

— Ale cóż tam Facetan tak cicho siedzi? toż teraz właśnie powinien się brać do nich, kiedy są już blisko — tak mówił Arend.

— Cierpliwości — rzekł Klaas — on nie zasympia sprawy, widzę go, naciąga łuk za krzakiem...

— Oho, już wypuścił strzałę! — zawołał Janek — o, co za szkoda, strusie uciekają, już po nich!...

Janek był w błędzie; strusie uciekły wprawdzie w téj samej chwili gdy strzała gwizdnęła w powietrzu, ale nie odbiegły daleko, samiec opuścił nagle skrzydła i zaczął biegać w kółko, a samice straciły głowę i biegały za nim, naśladując dziwaczne jego ruchy. Łatwo było odgadnąć, że działanie trucizny to sprawiło, wkrótce też biedny ptak zachwiał się raz i drugi, jak pijany człowiek, przyklekał, wstawał znowu i próbował uciekać, poruszał rozpaczliwie skrzydłami, wyciągał szyję, ale wszystko nadaremnie, w końcu pochylił się i padł jak długi na piasku.

A jednak i teraz jeszcze nie dawał za wygraną, ale kopał nogami na wszystkie strony, podnosząc kłęby kurzu; zwolna ruchy te stawały się coraz słabsze, wreszcie ustały zupełnie i struś leżał nieruchomy.

Samice nie odbiegły, spoglądały na niego z podziwieniem i przestrachem zarazem, dopiero gdy Buszman wyszedł z ukrycia i zbliżył się do zabitego strusia, zerwały się i zaczęły uciekać, a po chwili znikły w oddaleniu.

(D. c. n.).

Zagadka przeciwieństwa (M. P.)

Znaleźć 22 wyrazy, których znaczenie stanowi przeciwieństwo z następującymi: 1) pokój, 2) emeryt, 3) niedorzeczność, 4) miękki, 5) miasto, 6) omega, 7) trudny, 8) szatan, 9) chłodny, 10) druk, 11) Kain, 12) połowa, 13) mieszczanin, 14) sługa, 15) węgiel, 16) kosodrzewina, 17) zgoda, 18) rzemieślnik, 19) cisza, 20) woda, 21) obszerny, 22) cebula.

Pierwsze litery tych wyrazów powinny utworzyć znane przysłowie.

Zadanie konikowe.

ju	nie	łać	sze	dba	skar	lu	li	gdy	[pł]
dar	tak	nie	bo	nie	stwo	łym	gi	cię	nie
znasz	w stro	*	pań	rzy	be	do	*	czli	sy
łym	wy	ja	jěj	nie	ty	we	na	znasz	dzie
na	two	bia	li	twe	ta	wdo	jesz	na	trzy
szkiem	z stry	pu	cno	wa	wo	sie	ma	jam	spi
o	le	Od	go	ro	szczę	a	swe	śmie	u
to	le	*	szczo	dwo	co	we	*	sków	lo
he	ków	zwa	bę	śli	ta	nie	twą	ło	się
no	o	na	ra	go	zgu	na	ty	sy	na

ROZWIĄZANIA DO N-ru 19-go.

Łamigłówni wierszowanej:

Kędy wartki płynie San,
Człek uprawia zboża łan;
Rolnictwo, to jego stan.
Pewien dobry, ludzki pan,
Nie żaden tatarski chan,
Nadesłał mu miodu dzban.
Miodek smaczny, to nie tran;
Gdy swą pracę skończy Jan,
Będzie uczta, będzie tan.

Krzyża z podstawą:

M
i
m i e d ź
c
z
y
s
c ł o
s z a t a
S ł a w k ó w